

Bruno Jasieński

PAŁĘ PARYŻ

zawiera również:

Paula Moranda

PAŁĘ MOSKWĘ



**Klub Opowieści
NIEZWYKŁYCH**



PAŁĘ PARYŻ

PAŁĘ MOSKWĘ



Bruno Jasiński
PAŁĘ PARYŻ

zawiera również:

Paula Moranda
PAŁĘ MOSKWĘ

Redakcja i wstęp Piotr Kitrasiewicz

Jirafa Roja
Warszawa 2005

© Copyright by Bruno Jasieński
© Copyright by Paul Morand
© Copyright by Jirafa Roja, 2005



Klub Opowieści
NIEZWYKŁYCH

Skład i łamanie: **Tatsu** 

Projekt okładki: **Natalia Gościńskiak**

ISBN 978-83-62948-63-5



Wydanie I
Warszawa 2005

Spis treści

Morand – Jasieński: Pojedynek na miasta	7
Palę Paryż	15
Wstęp do wydania z 1931 roku	17
Palę Moskwę	279

Morand – Jasiński

Pojedynek na miasta

Po opublikowanym niedawno przez wydawnictwo Jirafa Roja tomie krótkich utworów prozatorskich Brunona Jasińskiego noszącym tytuł od jednego z nich „Nogi Izoldy Morgan”, prezentujemy obecnie koneserom przedwojennej literatury polskiej nie lada gratkę. Jest nią najbardziej znana powieść Jasińskiego „Palę Paryż” skonfrontowana z nowelą Paula Moranda „Palę Moskwę”, utworem dzięki któremu książka Jasińskiego powstała. Powstała jako obszerna replika, zacietrzewiony kontratak, a więc z pobudek, powiedzmy sobie, niezbyt wysokich. Wkroczyła jednak na artystyczne wyżyny do zdobycia których ani ten, ani żaden inny utwór Moranda nie dojrzał.

Ponieważ we wstępie do „Nóg Izoldy Morgan” omówiłem kolejne życia ich twórcy, teraz poświęcę kilka słów zupełnie nieznanemu u nas autorowi „Palę Moskwę”. Nieznanemu obecnie, bo w dwudziestolecie międzywojennym miał swoje pięć minut także nad Wisłą. W Polsce wydano kilka jego powieści i zbiorów opowiadań, z których po wojnie nie wznowiono ani jednej pozycji.

Obieżyświat z frywolnym piórem

Paul Morand urodził się 13 marca 1888 roku w Paryżu. Studiował w szkole nauk politycznych i służby dyplomatycznej. Był członkiem korpusu dyplomatycznego w wielu krajach, a w latach dwudziestych pełnił funkcję attache kulturalnego w Związku Radzieckim. Ze służbą dyplomatyczną rozstał się, ale zamiłowanie do podróży pozostało w nim do końca życia. Był typem trampa, zaradnego wędrowca, przemierzającego pieszko, na rowerze lub autostopem szerokie połacie

Europy, Stanów Zjednoczonych i innych kontynentów. Z wędrówek tych powstawały jego książki, fabularyzowane reportaże, utwory obyczajowo-przygodowe, satyryczne. A że potrafił postrzegać otaczający świat w sposób bystry i zabarwiony humorem ceniono go i chętnie publikowano w latach dwudziestych. Dużym powodzeniem cieszyły się jego książkowe historie o wielkich metropoliach ówczesnego świata (np. o Nowym Jorku, Londynie itp.), jak również opowieści będące plonem dalekich podróży („Żywy Budda”, „Magia czarnych”). Wydany w 1925 roku tom opowiadań „L’Europe galante” (wydany u nas w 1928 roku jako „Swawolna Europa”) był jakby rozgrzewką dla pióra. W krótkich formach prozatorskich, których akcja rozgrywa się w różnych miastach europejskich, takich jak Leningrad, Essen, Paryż, Syrakuzy, Moskwa, Londyn, Monte Carlo, dał próbki uchwycenia ich klimatu pod kątem relacji mężczyzna-kobieta. Jedno z opowiadań nosiło tytuł „Je brule Moscou”...

Zatrzymajmy się na krótką chwilę przy tym zbiorze. Morand pisze w nim nie tylko o miastach, są one raczej pretekstem do takiego czy innego obrazu zamieszkujących je ludzi, obrazem poszczególnych narodów. A jaki jest ten obraz? Na to pytanie odpowiada sam autor składając w jednym z utworów tego zbioru swoiste podsumowanie przyświecającego mu celu. Interlokutorka narratora, rosyjska śpiewaczka z opery w Monte Carlo, Julia, zarzuca mu podczas upojnego wieczora w cztery oczy, że:

„Sądząc z pańskich książek nie lubi pan niczego.

A ja wyobrażałem sobie, że robię naiwny spis cudów świata!

W zakresie cudów podjął się pan jednego zadania, pokazuje pan nam epilepsję Rosjan, głupotę Anglików, skąpstwo Francuzów, lenistwo Hiszpanów, próżność Włochów, gminność Belgijczyków, małostkowość Szwajcarów, szowinizm Niemców, dzikość Bułgarów, gruboskórność Holendrów, wdzięki uniwersyteckie Czechosłowaków, chciwość Greków, ideał demokratyczny Portugalczyków, nieużyteczność Norwegów, gimnastykę Szwedów, niewdzięczność Jugosłowian, lekkomyślność Austriaków, popędliwość Węgrów, podejrzliwość Polaków...

...lub wręcz przeciwnie, pani. Mówią, że twórczość jak sen podlega prawu przeciwności. Otóż pisanie jest tylko snem. Szukaj a znaj-

*dziesz. I ujrzy pani nagle jak z moich snów wylania się wspania-
łomyślność Rosjan, wytrwałość Anglików, jansenizm Francuzów,
zdrowy rozsądek Belgijczyków, wzniosłość Szwajcarów, siła Niemców,
odwaga Bułgarów, oszczędność Greków, paryżanizm Rumunów, zdol-
ność zapominania Austriaków, frankofilstwo Portugalczyków, błysko-
tliwość Włochów i tak dalej... a zwłaszcza sympatia tego autora bez
serca dla wszystkiego co jest żywotne, nie mówiąc już o zachwycie,
jaki czuje dla pani” (wg „Swawolna Europa” w tłum. H. Jel „Rój”,
Warszawa 1928).*

Szkoda, że Morand nas, Polaków, zaliczył do tego „i tak dalej”.
Może nieźle byłoby dowiedzieć się czegoś o naszych narodowych
zaletach z jego punktu widzenia. Ale ostatecznie można mu to wy-
baczyć, podobnie postąpił z cnotami Szwedów, Norwegów, Węgrów,
Czechów, Słowaków... I tak dalej. Autor „Swawolnej Europy” zmarł
23 lipca 1976 roku w rodzinnym Paryżu. Jako sędziwy pisarz wszedł
w poczet członków Akademii Francuskiej.

Kontratak Jasieńskiego

Bruno Jasieński przeczytał „Palę Moskwę” podczas swojego pobytu
w Paryżu w drugiej połowie lat 20. Przyjechał do stolicy Francji ra-
zem z żoną, Klarą Arem. Mieszkali w niełatwych warunkach, pisarz
imał się różnych zajęć, pracował jako robotnik, działał w środowi-
sku miejscowej Polonii, zorganizował teatr dla polskich emigrantów.
Polscy komuniści wprowadzili go do środowiska komunistów fran-
cuskich. Autor „Buta w butonierce” poznał ludzi pióra uznawanych
za wybitnych pisarzy rewolucyjnych, w tym Henri’ego Barbusse’a.
Za jego sprawą został członkiem Komunistycznej Partii Francji.

Pierwsze dwa lata na francuskiej ziemi Jasieński poświęcił na pra-
cę nad poematem „Słowo o Jakubie Szeli. Codziennie spędzał wiele
godzin w Bibliotece Polskiej studiując prace historyczne i obyczaj-
kowe dotyczące rebelii chłopskiej w 1846 roku. On i jego żona ko-
rzystali jeszcze wówczas z pieniędzy ojca Klary, bogatego kupca ży-
dowskiego ze Lwowa, który sfinansował im tę podróż poślubną nie

wiedząc rzecz jasna jak długo ona potrwa i czym się zakończy. W każdym razie nie ujrzał już ani córki, ani zięcia. Oboje zostali zamordowani u schyłku lat trzydziestych na „gościnnej” ziemi radzieckiej.

Z zamiarem napisania katastroficzo-fantastycznej powieści o upadku wielkiego miasta „burżuazyjnego” nosił się jeszcze w Polsce, ale absorbowały go inne plany twórcze, a szczególne znaczenie przywiązywał do poematu o Jakubie Szeli. Prawdopodobnie w 1927 roku lub na początku 1928 wpadła mu ręce nowela Moranda „Palę Moskwę”. Nie jest jasne, czy poeta przeczytał cały zbiór „L’Europe galante”, czy może natrafił w antykwariacie albo w kramie jednego z licznych nadsekwańskich bukinistów na numer miesięcznika „Demain” sprzed kilku lat, który nowelę Moranda opublikował przed włączeniem jej do zbioru książkowego. W każdym razie uznał utwór francuskiego pisarza za paszkwil na Moskwę, stolicę proletariatu światowego. I postanowił odpowiedzieć... Postanowił spalić Paryż!

Na pierwszy rzut oka oburzenie Jasieńskiego jest niezrozumiałe. Frywolna nowela Moranda dotycząca spraw erotycznych, a konkretnie niemożności skonsumowania narastającej namietności między Francuzem i Rosjanką, mieszkanką Moskwy, gdyż w słodkim tete a tete w jej pokoju (we wspólnym mieszkaniu) ciągle przeszkadza jakiś gość lub inny użytkownik tego samego lokalu, nie prowokuje bynajmniej do takiej mściwości pod adresem stolicy Francji. W tamtym okresie we Francji ukazywało się sporo znacznie bardziej zjadłych utworów skierowanych przeciwko ZSRR. Ale autor „Nóg Izoldy Morgan” nie chwycił za pióro, żeby z nimi walczyć. Dlaczego? Są różne hipotezy na ten temat.

Jedna z nich — autorstwa Aleksandra Wata — próbuje dowieść, że autor „Słowa o Jakubie Szeli” błędnie zrozumiał tytuł utworu Moranda. „Je brule Moscou” oznacza wprawdzie „palę”, ale również „zwiedzam” Moskwę. Istotnie, czasownik ten ma niejedno znaczenie. A właśnie słowo „palę” tak rozsierdziło polskiego pisarza. Hipoteza ta wydaje się jednak mało prawdopodobna. Pomyłka leksykalna zdaje się nie wchodzić w grę. Nowelę zamieszczono w polskim przekładzie w zbiorze „Europa swawolna” w 1928 roku właśnie jako „Palę Moskwę”, a przekład został dokonany za wiedzą i zgodą autora. Tłuma-

czenia na inne języki również mówią o „paleniu”, a nie „zwiedzaniu” Moskwy. Być może tytuł *Moranda* miał charakter nie tyle metaforyczny, co psychologiczny. Rozgrzany namiętnością bohater wychodzi z mieszkania swojej bogdanki z niczym, jest wściekły, kipi w nim pożądanie idące w parze ze złością, a więc... A więc ten podwójny ogień pali... „Pali Moskwę”, miasto w którym ludzie nie mogą nawet swobodnie uprawiać seksu! O zgrozo!

Inna — wykoncypowana przez Anatola Sterna — teoria głosi, że Jasiński dopatrzył się w postaci sławnego i ekstrawaganckiego poety, jednej z postaci przewijającej się przez pokoik bohaterki, aluzji do osoby swojego idola jeszcze z czasów pobytu w Moskwie w okresie I wojny światowej. Oczywiście, do Władimira Majakowskiego, futurystycznego bożyszcza Jasińskiego, Sterna, Czyżewskiego i innych poetów awangardowych znad Wisły. Trudno poprzeć lub obalić te spekulacje. Musimy po prostu przyjąć, że z takich czy innych powodów Bruno Jasiński w zemście za francuski utwór „Pałę Moskwę” postanowił napisać powieść w której spali Paryż. I zabrał się rażno do pracy...

Jak wspominał po latach, napisał swój obszerne utwór w ciągu trzech miesięcy. Niszczył w nim Paryż za pomocą bakterii dżumy, które wyrzucony z pracy w fabryce proletariusz wykrada z laboratorium chemicznego i wpuszcza do wodociągu. Oczywiście niszczył Paryż stary, burżuazyjny, zgniły i reakcyjny. W tak pięknym niegdyś mieście zaczęły tworzyć się w poszczególnych dzielnicach wspólnoty etniczne, które rozpoczęły między sobą zajadłą walkę o przetrwanie. Ale...

Ale o tym wszystkim można i trzeba przeczytać właśnie w tekście „Pałę Paryż”. Powstał problem — gdzie opublikować utwór, czy może wydać go własnym nakładem jak „Słowo o Jakubie Szeli”? Rozwiązanie to nie wchodziło w grę, gdyż Jasińscy klepali biedę. Pieniądze od ojca Klary skończyły się dawno, a Bruno podejmował jedynie dorywcze, słabo opłacane zajęcia. Z pomocą przyszedł mu polski komunista mający dobre układy z miejscowymi wydawcami, Tomasz Dąbał (Jasiński odwdzieczył mu się dedykacją do swojej książki). Z pomocą przyszedł także Barbusse, ceniony współpracownik redakcji wysokonakładowego

(250 tys. egz.) dziennika „L’Humanite”. Naciski Barbusse’a i pozytywne opinie jakie wydali o utworze francuscy przyjaciele Dąbala sprawiły, że kolegium redakcyjne podjęło decyzję o publikacji w odcinkach powieści Jasieńskiego. No i zaczęło się!

„Pałę Paryż” uraziło przesyconą snobizmem miłość Francuzów do ich wielkiej stolicy. Jakiś cudzoziemiec bezcześcił narodowe świętości. Wybuchł potężny skandal, tłumy demonstrowały pod oknami redakcji, wysyłały petycje do władz Republiki, aby odebrać wizę bezczelnemu Polakowi (a może „Żydowi”, bo najbardziej zagorzałymi przeciwnikami Jasieńskiego byli różnej maści pravicowcy, w tym faszystujący nacjonaściści). Hałas wokół utworu był dla niego rzecz jasna doskonałą reklamą, a Jasieński z dnia na dzień stał się sławny. Wkrótce powieść ukazała się w wydaniu książkowym nakładem oficyny Ernesta Flammariona. Pojawiły się tłumaczenia w innych krajach świadczące o jej bezspornym międzynarodowym sukcesie. Sięgnął po nią oczywiście Związek Radziecki. Pierwsze wydanie w nakładzie 140 tys. egz. zostało wykupione już po kilku dniach. Druga edycja miała już nakład 220 tys. W Niemczech drukował ją w odcinkach wysonakładowy „Arbeiter Illustrierte Zeitung”, a w formie książkowej ukazała się w Neuer Deutscher Verlag. Wydano ją, nie bez pewnych obaw, także w Polsce w 1931 roku.

Publikacji podjęła się szanowana firma Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Nie obyło się bez ingerencji cenzury. Wprawdzie niby chodziło o Paryż, ale przecież polski czytelnik miał do czynienia z propagandą komunistyczną. Wydawnictwo uprosiło o pomoc jednego z najbardziej popularnych pisarzy tamtego okresu, Juliusza Kadena-Bandrowskiego, wspierającego swoim autorytetem artystycznym oraz rangą pułkownika rozmaite niepewne politycznie przedsięwzięcia literackie międzywojnia. Poprzedził on wstępem „Pałę Paryż” nie unikając przy tym pewnych lapsusów. Na skutek niedoinformowania (zapewne) Kadena-Bandrowski wychwala w zakończeniu wprowadzenia Francję i jej tolerancję za to, że jednak pozwoliła pozostać autorowi na swojej gościnnej ziemi. Pisał to autor „Generała Barcza” w 1931 roku, kiedy Jasieński już dawno został z Francji deportowany (dwukrotnie) i korzystał z nowej gościnności — rosyjskiej. Ale to już inny temat.

Wstępu Kadena-Bandrowskiego nigdy po wojnie nie przypomnia-
no. Publikujemy go w całości, nawet z końcowym lapsusem. Po raz
pierwszy prezentujemy w niniejszym tomie łączne wydanie obu utwo-
rów: „Palę Moskwę” Paula Moranda i „Palę Paryż” Brunona Jasień-
skiego. Będący inspiracją dzieła Jasieńskiego utwór Moranda popadł
już dawno w zapomnienie. Powieść polskiego autora ciągle żyje, tak-
że we Francji, w której ukazało się w 2003 roku jej kolejne wydanie.

PIOTR KITRASIEWICZ

Bruno Jasieński
PAŁĘ PARYŻ

Wstęp

do wydania z 1931 roku

Rozpowszechniła się w obecnych czasach dość nagminnie wśród najszerszych kół czytelniczych jakaś obawa, czy pasja, czy podejrzliwość, czy też pochopność złośliwa bardzo, skryta, ludzi myślących niegodna — dzielenia książek literackich na budujące i burzące, pogodne i zatrute, zdrowe i niezdrowe, czyli jakoby chore, zarazę szerzyć mogące.

Pochopność owa, nawiana w nasze serca i umysły z twardych klepisk politycznego życia, jest chorobą, złośliwą narosłą w dziedzinie oceny i miary utworów kształtu literackiego. Świadczy ona, że metody straganu, jarmarku, czy choćby bojów politycznej trybuny przenosimy w dziedzinę odczuwania i kontemplacji. Nie o to bowiem chodzi przecież, jak autor pokierował losem ludzi, czy spraw, to jest, czy wygodził naszym poglądom politycznym, społecznym, lub narodowym. Jeżeli im wygodził, nie racja jeszcze, iż słuszność rzeczywistą ukazał. Jeżeli im zaprzeczył — nie racja, iż my właśnie drogą, słuszności kroczymy.

Rzecz główna i jedynie istotna: czy nas wzruszył, czy wstrząsnął sercem naszym, czy choć przez chwilę uwierzyliśmy owym ludziom i losom przez autora na papier książki wypędzonym.

Jeżeli tak, jeżeli chwilę zadrżeliśmy w obliczu takich właśnie na papierze drukowanych losów — autor najszanowniejsze zadanie swoje spełnił. Rozszerzył bowiem pojemność uczuć naszych, przedłużył życie nasze o życie innych urojonych a jednak jakże czynnych bliźnich — powiększył skarb naszego doświadczenia i naszych przewidywań.

Odsuńmy zatem, gdy mowa o literackim kształcie, wszystkie sprawy pożądań, wierzeń, przesądów, czy też cnót naszego gospodarstwa

— jawi się bowiem przed nami inne, najwyższe gospodarstwo uczucia. Porównajmy je tylko z naszym własnym najszczerzym przeżyciem, a korzyść i pożytek z lektury zjawią się same w pomnożeniu naszego współczucia dla prędkich tęsknot artysty, które w temacie ludzkim szukają sprawiedliwości człowieka względem człowieka.

Nie sądzę, bym musiał przeprowadzać analizę, na ile, w jakim stopniu, w jakiej mierze i wysokości jest utwór Jasieńskiego dziełem sztuki.

Publiczność sama sądzić będzie o tym. Sądzi ona zazwyczaj książki po swojemu i kto wie, czy ten właśnie sposób sądzenia nie jest najlepszy? Publiczność nie wdaje się na ogół w szczegóły estetyczne, w zachowanie proporcji artystycznego kształtu, nie wdaje się w zawiłe sprawy kompozycji, lecz mierzy dzieło zawartą w swojej własnej piersi nadzieją, gniewem, czy cierpieniem.

Publiczność sądzi książkę wedle własnego przeżycia i doświadczenia.

Sami więc osądzicie, czytelnicy, ile życia i prawdy waszej i cierpień dało się autorowi zawrzeć w tej książce. Sami osądzicie, czy taka właśnie dzuma w Paryżu odpowiadałaby waszej idei o wyrównaniu rachunków. Czy taki oto — jak go opisuje Bruno Jasieński — taki właśnie przewrót odpowiada gniewom i protestom, jakie każdy z myślących ludzi odczuwa niejednokrotnie w walce ze swą dołą oraz w walce z takim a nie innym ustrojem świata. Ustrojem, nad którego poprawą pracujemy z pokolenia na pokolenie w najzacniejszej trosce o przyszłość, oraz w najwyższej dumie ofiar jednostki na rzecz wspólnoty.

Nie chodzi w tym miejscu o analizę budowy artystycznej, o pochwałę, czy potępienie społecznych uderzeń autora. Jeżeliby jednak zależało komuś z racji dzieła Brunona Jasieńskiego o moje, zgoda w tej materii nie obowiązujące zdanie — musiałbym przyznać, iż „Pałę Paryż” uważam za książkę w najwyższym stopniu łagodzącą i nieomal pacyfistyczną.

Tak, tak — mimo wręcz przeciwnych i jakże gwałtownych pozorów!

Bruno Jasieński przedstawia nam w skrótach tak szybkich, że prawie pobieżnych — wszystkie nieszczęścia, katastrofy i kataklizmy,

które czekają ludzkość, o ile pozostanie w tym stanie moralności, w jakim się dziś znajduje.

Katakлизmy — wedle mniemań autora — przyniosą zwycięstwo pewnej, wyraźnie określonej ideologii społecznej.

Ta druga propozycja — o zwycięstwie ideologii, nie jest chyba niebezpieczna, skoro w myśl wierzeń autora ideologia ta przyniesie ludzkości najwyższą miarę szczęścia.

Któż w tym życiu na gorzkim, a jednak tak kochanym padole ziemskim nie pragnie szczęścia? Pominąwszy zatem ową drugą propozycję o szczęściu, w które każdemu wierzyć wolno wedle przekonania własnego — pozostaje przed wnikliwością naszą postawiona owa pierwsza przesłanka, mająca dopiero przygotować i sprowadzić drugą, to jest sprawa kataklizmów i katastrof, które na nas czekają, o ile pozostaniemy nadal na tym stopniu moralności, na jakim dziś stoimy.

W niepokoju, w trosce, w namiętej gwałtowności, jakimi otacza autor tę właśnie przesłankę, dopatruję się szczerych i zacnych walorów „moralnych” prozy Jasieńskiego. Jego wzburzone serce w płomiennem wrzeniu przewiduje rzeczy okropne, o ile nie nastąpi wśród nas, biednych ludzi, żyjących na tej ziemi, jak najszybsza poprawa. Fantazja artysty, przepojona zgrozą obecnych warunków istnienia ludzkiego na świecie, nasuwa nam przed oczy skutki, jakie wynikną z naszego egoizmu, chciwości na wszelkie dobro i zatwardziałości wobec cierpienia naszych bliźnich.

Uważam, iż jest to właśnie bardzo godną cnotą Jasieńskiego, że przejmuje się tymi sprawami, że o nie dba, że go tak trapią, niepokoją, straszą i przerażają. Albowiem — przewidywać, lękać się, niepokoić — to kochać! To zmniejszać zło, nieuchronnie w życiu zbiorowym współistniejące z nami.

Cóż innego w odróżnieniu od ziemnych filozofów starożytności czynili wszeley reformatorzy, coś innego czynią w wykładzie swych poglądów kaznodzieje, jak nie to właśnie, iż, chcąc nas podnieść, pobudzić, czy poprawić, grozę bytu naszego i nieomogiego trwania naszego nam ukazują?!

Za książkę pod tytułem „Palę Paryż” omal nie wydalono Brunona Jasieńskiego z Francji. Miarodajne czynniki, licząc się z drażliwością

nastrojonej przeciw cudzoziemcom opinii, poirytowanej, że oto przybysz i cudzoziemiec dzień w dzień w odcinkach „Humanite” pali w tak zaciekle sposób „Ville Lumiere”, miały z dziś na jutro wystąpić z wszelkimi rygorami władzy, gdy oto list otwarty, podpisany przez wielu wybitnych pisarzy Francji, całą sprawę zatrzymał. Nazwiska wybitnych twórców francuskich, podpisanych pod listem, odwiodły władzę od jej srogich zamiarów.

Wedle mego mniemania takie właśnie rozstrzygnięcie drażliwej sprawy przynosi zaszczyt publicznej opinii francuskiej: gdy twórcy francuscy orzekli, iż dzieło Jasieńskiego jest dziełem sztuki i nie należy przeszkadzać artyście w pracy — rygory administracyjne upadły niejako same przez się.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

*Towarzyszowi Tomaszowi Dąbalowi,
nieustrudzonemu bojownikowi
sprawy robotniczo-chłopskiej,
podaję tę książkę, jako dłoń do uścisku
ponad głowę Europy*

Część I

I.

Zaczęło się to od drobnego, nic na pozór nie znaczącego wypadku natury zdecydowanie prywatnej.

Pewnego pięknego listopadowego wieczora na rogu ulicy Vivienne i bulwaru Montmartre Jeannette oświadczyła Pierre'owi, że potrzeba jej nieodzownie wieczorowych pantofelków.

Szli wolno, pod ramię, wmieszani w ten przypadkowy, niezgrabny tłum statystów, jaki na ekran bulwarów paryskich wyrzuca co wieczora zepsuty aparat projekcyjny Europy.

Pierre był zasepiony i milczący.

Miał zresztą po temu swoje aż nadto wystarczające powody.

Dziś z rana majster, gutaperkowym krokiem przemierzający salę, zatrzymał się nagle przed jego obrabiarką i patrząc gdzieś powyżej jego ramienia polecił mu spakować narzędzia.

Od dwóch tygodni trwał już ten milczący połów. Pierre słyszał od kolegów: we Francji, z racji kiepskiej koniunktury, ludzie przestali kupować samochody. Fabrykom groziło zamknięcie. Wszędzie zredukowano do połowy personel. Celem uniknięcia zaburzeń usuwano po kilku ludzi o różnych porach dnia, z różnych oddziałów.

Przychodząc z rana na robotę i stając nad warsztatem, nikt nie mógł być pewien, czy kolej dziś nie na niego.

Czterysta niespokojnych par oczu, jak psy węszące po ziemi, biegło chyłkiem, trop w trop śladem ociężałych stóp majstra, wolno, jakby z namysłem przechadzającego się między warsztatami, i usiłowało uniknąć spotkania z jego prześlizgującym się po twarzach wzrokiem. Czterystu ludzi schylonych nad maszynami, jak gdyby pragnęło stać się jeszcze mniejszymi, bardziej szarymi, niedostrzegalnymi, w gorączkowym wyścigu palców namotywało sekundy na rozpalone od pośpiechu obrabiarki i ochryple od niemego krzyku, płaczące się palce zdawały się mamrotać: „Ja najszybciej! Nie mnie przecież! Nie mnie!”

I dzień w dzień w którymś z końców sali zatrzymywało się nagle na kropce nienawistne, wahlliwe pismo kroków i w naprężonej ciszy rozlegał się matowy, bezwyrazy głos: „Zbieraj narzędzia!”

Wtedy z kilkuset piersi niby podmuch wentylatora dobywało się westchnienie ulgi: „A więc nie ja! Nie mnie!” I pośpieszne, tresowane palce jeszcze prędzej chwytały, szczepiały, nawijały sekundę na sekundę, ogniwo na ogniwo, żelazny ośmiogodzinny łańcuch.

Pierre słyszał: odprowadzają w pierwszym rzędzie podejrzanych politycznie. Nie obawiał się. Od agitatorów trzymał się z dala. Na mitingi nie uczęszczał. Podczas ostatniego strajku był w liczbie tych, którzy mimo zakazu stawili się do pracy. Robotnicy-krzykacze spoglądali na niego spode łba. Przy spotkaniu z majstrem zawsze silił się wydusić na wargi przyjazny uśmiech.

I, mimo wszystko, ilekroć majster rozpoczynał po sali swój milczący, złowrogi spacer, palce Pierre’a gmatwały się w wytężonej pogoni, narzędzia leciały mu z rąk, nie śmiał się po nie schylić w obawie zwrócenia na siebie uwagi i kroplisty pot chłodnym kompresem zwilżał mu rozpalone czoło.

Kiedy zaś tego rana złowieszcze kroki zatrzymały się raptownie przed jego obrabiarką, kiedy wzrokiem w rysunku warg wyczytał wyrok, Pierre poczuł niespodziewanie coś w rodzaju ulgi: otóż i koniec!

Obojętnie, bez pośpiechu spakował w węzełek posegregowane narzędzia. Nie oglądając się na nikogo, począł ściągać powoli robocze ubranie i zawinął je starannie w papier.

W sekretariacie przy obliczeniu żetonów okazało się, że skradziono mu mikrometr.

Nieomylna transmisja administracji fabrycznej przerzuciła go do biura kontroli. W biurze łysy, zezowaty kancelista oświadczył Pierre'owi lakonicznie, że fabryka za zgubiony mikrometr potrąca mu czterdzieści franków. Resztę wybrał przedwczoraj jako zaliczkę. Nie należało mu się nic.

Pierre w milczeniu zgarnął ułożone symetrycznie, zatłuszczone świadectwa. Wiedział dobrze: aby nie dawać zredukowanym robotnikom prawa do zasiłku dla bezrobotnych, fabryka w porozumieniu z rządem odmawiała umieszczenia na świadectwie adnotacji „zwolniony z powodu braku pracy”. Przez chwilę chciał mimo wszystko spróbować, poprosić. Spojrzał na błyszczącą, złą łysinę nastroszonego skryby, na dwóch drabów z policji fabrycznej, odwróconych do niego tyłem, niby to zajętych rozmową... Zrozumiał, że na nic się to nie zda.

Ciężkim krokiem wyszedł z kancelarii.

Przy bramie odebrano mu przepustkę i zrewidowano zawartość zawiniątka.

Znalazłszy się na ulicy, Pierre długo stał nieporadnie, rozmyślając, dokąd by tu się udać. Tłusty, granatowy policjant o twarzy buldoga, z wyczyszczonym numerkiem na obroży, warknął mu nad uchem, że zatrzymywać się w tym miejscu nie wolno. Postanowił obejść kilka fabryk.

Zewsząd jednak, dokądkolwiek się zgłaszał, odprawiano go z niczym. Wszędzie panował kryzys. Fabryki pracowały po kilka dni w tygodniu. Personel zmniejszano. O przyjmowaniu nowych robotników nie mogło być mowy.

Po całodziennym bieganinie, głodny i zmęczony, zaszedł o siódmej pod magazyn po Jeannette.

Jeannette potrzebowała pantofelków. Jeannette miała najzupełniejszą rację. Pojutrze — święto „Katarzynek”. Magazyn urządza dla personelu bal. Sukienkę w drodze oszczędności przerobiła sobie z zeszłorocznej. Brak jej jedynie pantofelków. Nie może przecież pójść na bal w lakierkach! W dodatku to nie taki znów wielki wydatek — widziała sama na wystawie śliczne, brokatowe, raptem za pięćdziesiąt franków.

Pierre miał w kieszeni równo trzy sous i w chmurnym milczeniu słuchał melodyjnego szczebiotania przyjaciółki, na odgłos którego pierś ścisnęła mu się słodkim łaskotem, jak na spadzistych zakrętach „diabelskich gór”.

* * *

Następny dzień upłynął na poszukiwaniach równie bezpłodnych, jak poprzedni. Nie przyjmowano nigdzie. O siódmej zmęczony i osowiały Pierre znajdował się gdzieś na przedmieściu, na przeciwnym krańcu Paryża. Miał o tej porze czekać przy wyjściu na Jeannette. Nie był już w stanie zdążyć w żaden sposób. Zresztą i cóż jej powie? Jeannette potrzebuje pantofelków. Będzie płakać. Pierre nie mógł patrzeć na łzy Jeannette. Ociężałe powlókł się w stronę miasta.

Po drodze myślał o Jeannette. W gruncie rzeczy nieładnie postąpił nie czekając na nią przy wyjściu. Należało jej wytłumaczyć, przedstawić całą sprawę. Nie ma co, wyszedł jak grubianin. Musiała na niego czekać. Potem nie doczekawszy się poszła do domu. Ma z pewnością do niego słuszny żal. Uczuł, że musi pomimo spóźnionej pory zajść do niej, wyjaśnić jej wszystko i przeprosić.

Zaszedłszy jednak na górę dowiedział się, że Jeannette dotychczas z miasta nie wróciła. Wiadomość ta zaskoczyła go znienacka, rozsypując jednym uderzeniem nawleczone już w myśli z takim mozołem paciorki zdań.

Gdzie mogła bawić tak późno Jeannette? Prawie nigdy nie wychodziła wieczorami sama. Postanowił poczekać na nią przed bramą. Wkrótce jednak rozbolewały go nogi. Przysiadł na słupku, oparty plecami o ścianę. Czekał.

Gdzieś daleko, na jakiejś niewidzialnej wieży, zegar wydzwonił drugą. Wolno, jak chłopcy w szkole — wyuczoną na pamięć lekcję, powtarzały ją za nim nad pulpitemi dachów inne wieże. Potem znów cisza. Ciężkie powieki, jak muchy pojmane na lep, trzepocą niezgrabnie, na chwilę podfruną, by znowu opaść. Gdzieś na dalekim wyboistym bruku zaturkotał pierwszy nieśmiały wóz. Wkrótce wy-

jadą wozy po śmiecie. Nagi, chropawy bruk — łyse, oskalpowane czaszki żywcem zakopanego tłumu — spotkają je długim krzykiem-lomotem, podawanym z ust do ust przez nie kończącą się nigdzie długość wyobraźalnej ulicy. Trotuarami przebiegną czarni ludzie z długimi włóczniami, zanurzając ich ostrza w drgające jak płomyk serca latarni.

Suchy jazgot obolałego żelaza. Senne, budzące się miasto podnosi z trudem ociężałe powieki żaluzji.

Dzień.

Jeannette nie wróciła.

II.

Nazajutrz było święto „Katarzynek”. Pierre nie poszedł szukać roboty. Wczesnym rankiem udał się na plac Vendôme i oparty o sąsiadującą z magazynem bramę czekał na pojawienie się Jeannette. Nurtował go głuchy niepokój. W ciężkiej, bezsennej głowie, jak pływające wyspy tytoniowego dymu — w dusznym, nadymionym pokoju, unosiły się niejasne pomysły najnieprawdopodobniejszych wypadków. Przylepiony do żelaznej kraty, przestał tak cały dzień. Od dwóch już dni nie miał nic w ustach, lecz cikliwy posmak śliny, pozostający w sferze wrażeń smakowych, nie przeniknąwszy do świadomości, nie stał się jeszcze głodem.

Nad wieczorem lunął deszcz i pod chluszczącymi strumieniami wody twarde kontury przedmiotów zafalowały łagodnie, wydłużając się w głąb, jak zanurzone w wartkim, przezroczystym nurcie.

Zapałał zmrok. Zapalone latarnie, jak tłuste, bezbarwne plamy na atramentowej powierzchni nocy, niezdolne ani wsiąknąć w nią, ani jej rozświetlić, zaludniły koryto ulicy wodorostami cieni, fantastyczną fauną niezgruntowanych głębin.

Urwiste brzegi, pełne fosforyzujących, magicznych grot witryn jubilerskich, gdzie na skałach z zamszu, wyłuskane z muszel, drzemią wielkie jak grochy dziewicze perły — prostopałdymi ścianami wydłużały się w górę w daremnym poszukiwaniu powierzchni.

Szerokim wąwozem łożyska, z szumem elastycznych łusek opon płynęły stłoczone stada dziwacznych żelaznych ryb o ognistych, wybałuszonych ślepiach, ocierając się o siebie pożądliwie bokami w obłokach błękitnawej ikry benzyny.

Wzdłuż stromych brzegów, poruszając się z wysiłkiem, jak nurkowie w przezroczystej galarecie wody, brnęli ołowianostopi ludzie pod ciężkimi skafandrami parasoli. Zdawało się, że lada chwila ktoś pierwszy szarpnie za zwisającą rączkę i lekko poszybuje w górę, opisując nogami esy-floresy nad głowami zastygłego tłumu.

Z daleka, z biegiem rzeki, zbliżał się powoli płaski, cudaczny skafander o trzech parach kobiecych nóg. Nogi omackiem gruntuja wyslizgane dno, zataczają się od wewnętrznego śmiechu, od bulgotu fizycznej radości przezwyciężania oporu.

Kiedy nogi zbliżały się do wyrwiska bramy, Pierre dojrzał, że niosą pod skafandrem trzy roześmiane głowy i że jedną z trzech była głowa Jeannette.

Spostrzegłszy Pierre'a, Jeannette podbiegła doń w podskokach, obsypując go pstrokatym konfetti swego szczebiotu („diabelskie góry”). Była w wieczorowej sukience, płaszczyku i nowiuteńkich przemoczonych brokatowych pantofelkach.

Czemu nie nocowała w domu? Oczywiście spała u koleżanki. Szyły do późna kostiumy na dzisiejszy bal. Skąd ma nowe pantofelki? Wzięła w magazynie zaliczkę na rachunek przyszłej pensji. Jeżeli Pierre chce, ma jeszcze teraz chwilę czasu, może więc zjeść z nim razem obiad.

Stropiony Pierre bąknął pod nosem, że nie ma na obiad. Obrzuciła go zdziwionym, nie rozumiejącym spojrzeniem.

Nie? W takim razie zje coś naprędce z koleżankami. Musi się śpieszyć, bo brak jej jeszcze kilku drobiazgów.

Wspięła się na palcach, pocałowała go szybko w usta i zniknęła w bramie.

Pierre powlókł się do domu. Nogi ciążyły mu i cierpki posmak w ustach po raz pierwszy przeszwarcował się do świadomości, długo kołając do jej drzwi upartą, cierpliwą czkawką. Zrozumiał i uśmiechnął się z własnej niedomyślności. Był to głód.

Na bulwarach roilo się już od grup rozswawolonych midinetek, przedsiębiorczych młodzieńców, kolorowych czepeczków i szarf. W cieniu niewzruszonych lamp, odświeżnie ubrani Pierre'owie całowali w usta swoje małe Jeannette'y, które wdzięcznie podnosiły się na palcach.

Szary Menilmontant był mroczny i posępny jak co dzień.

Pierre z trudem przyczłapał się do domu. Był zmęczony i zajmowała go teraz jedyna myśl: wyciągnąć się jak długi na łóżku.

Od pewnego czasu unikał starannie spotkania oko w oko z mrukliwym, dziobatym konsjerżem. Wydatki ostatnich czasów (jesienna garderoba Jeannette) były powodem, że od trzech miesięcy zalegał już z komornym. Co wieczora starał się przemknąć niepostrzeżenie przez nieoświetloną sień, wprost na schody.

Tym razem jednak manewr ten zawiódł. Z wnętrza sieni na spotkanie Pierre'a wyrósł nagle jak widmo, bezkształtny profil konsjerża. Pierre spróbował uchylić kaszkietu i prześliznąć się mimo, lecz został przytrzymany za ramię. Z urągliwych, wycharkniętych słów zrozumiał tylko jedno: do pokoju go nie wpuszczą. Ponieważ nie płacił od trzech miesięcy, pokój jego odnajęto. Rzeczy odbierze, kiedy uiszczy zaległy czynsz.

Machinalnie, bez słowa protestu, ku widocznemu zdumieniu umiłkłego w pół wyrazu konsjerża, Pierre zawrócił na pięcie i wyszedł na ulicę.

Mżył drobny deszcz. Pierre bezmyślnie podreptał z powrotem, nie wiedząc dobrze dokąd, wzdłuż wilgotnych, ciepłem pierwszego snu napęczniałych ścian. W ciasnych wnękach, we framugach domów czarni, skuleni ludzie, mężczyźni i kobiety, układali się na nocleg, okręcając od zimna kończyny strzępami pozbieranych gazet.

Upadając ze zmęczenia, jak rozbitek zdążający ku najbliższym mającejącym światelkom, Pierre skierował się w stronę czerwonych ogników metra i dobiegł do rogu bulwaru.

Biła pierwsza. Z okaflowanej czeluści kolei podziemnej zaspana służba wypędzała na powierzchnię ostatnich, spóźnionych pasażerów i zwabionych ciepłem włóczęgów. Z trzaskiem zasuwano kraty.

Na schodach prowadzących na chodnik panował ścisk, pogwar i zaduch. Zarośnięci, obdarci ludzie zajmowali już ze skwapliwym